

Iluzje Demostenesa

Wielki spór, jaki w antycznych Atenach wiedli ze sobą na śmierć i życie Ajschines i Demostenes, jest zapewne jednym z toposów całych dziejów polityki w naszym kręgu kulturowym. Znamy dobrze zarówno jego polityczną istotę, jak i nienawistną atmosferę, w jakiej się toczył, głównie dzięki pisanim i zachowanym mowom obu wybitnych polityków, wygłaszanych wobec sądów i ludu ateńskiego.

W miotanych przez nich nawzajem zarzutach przeplatają się najczęściej trzy wątki: pederastia i wykorzystywanie finansowe zwabionych chłopców, zdrada kraju suto opłacana przez wrogów ojczyzny, no i korupcja oraz kradzież majątku publicznego na wielką skalę. Ateny z połowy IV wieku przed Chr. to republikańska „città corrotta” (jak to określi potem Voegelin), gdzie więzi wspólnoty politycznej osłabły, partyjna polaryzacja osiągnęła apogeum, a moralność publiczna w zasadzie przestała istnieć. W takim kulturowym kontekście dwaj protagoniści toczą spór, którego ateńska polityka nie potrafi w żaden sposób rozstrzygnąć, chybocząc się z roku na rok, a to w jedną, a to drugą stronę. Zaś pytanie, przed którym stoi wówczas świat greckich polis, dotyczy kwestii absolutnie zasadniczej: tego, czym w ogóle jest „helleńskość”, która dla obu – tak Ajschinesa, jak i Demostenesa – jest ich wyobrażoną i przeżywaną tożsamością polityczną i kulturową? No i w związku z tym, jak ma wyglądać dalsze dziejowe przeznaczenie Hellady, w obliczu nowych politycznych wiatrów, jakie w połowie IV wieku zaczynają wiać w rejonie

Śródziemnomorza? Nieco uwspółcześniając pojęcia polityczne tamtego czasu można by rzec, iż odpowiedź Ajschinesa jest „uniwersalistyczna”, zaś Demostenes pozostaje „nacionalistą”.

Hellada i historia – fragment „Świata polis” Erica Voegelina

W kraju zdruzgotanym skutkami wojny peloponeskiej i przewlekłym kryzysem starej formy ustrojowej polis, Ajschines dostrzega dziejową szansę na zaprowadzenie panhelleńskiego pokoju, poprzez uznanie politycznej hegemonii rosnącego w potęgę Filipa II Argeady – nie kryjącego ambicji imperialnych władcy Macedonii. Macedończycy są „w zasadzie” Grekami, mówią po grecku i wywodzą się od Dorów; tych samych przecież Dorów, których zejście z gór kończy okres legendarnej kultury mykeńskiej, rozpoczynając prawdziwe dzieje polityczne Hellady. A już z pewnością helleńska jest wywodząca swój ród od Heraklesa pradawna dynastia Argeadów, której początek miał dać król Karanos, nie skąd inąd, jak z peloponeskiego Argos wyprowadzający przed wiekami swój lud na ziemie macedońskie, i to za wskazówką delfickiej Pytii (co zrelacjonował nam chrześcijański historyk Euzebiusz z Cezarei). No więc rzecz w tym – powtórzmy – że z perspektywy Aten IV wieku owa Macedonia jest Helladą „w zasadzie”, czyli niby nią jest, a niby nie jest. Na przykład do panhelleńskiej olimpiady długo nie jest dopuszczana, aż zirytowany Filip siłą rozwali wrota stadionu dla swoich zawodników. Z perspektywy tożsamościowego sporu Ajschinesa z Demostenesem ta rzecz okaże się kluczowa. Ajschines myśli bowiem o „politycznej helleńskości” w niemal identycznych kategoriach, w jakich my, w braku lepszych określeń, zwykliśmy nie tylko nazywać, ale i przeżywać nasz polityczny świat, jako „kolektywny Zachód”. W tym sensie Filip II, choć reprezentuje nową dla Greków, uniwersalistyczną formę państwowości i

władzy, jest zarazem monarchą, który nie zagraża Helladzie, ale przeciwnie – może ją ocalić, wobec jej dziejowego zmęczenia, podziałów i nieprzezwyciężalnej słabości.

Dlatego właśnie staje się śmiertelnym wrogiem „nacionalisty” Demostenesa, który cały swój wielki polityczny talent zużyje na podburzanie Ateńczyków do nienawiści i wojny z Filipem. Dzięki piszącemu po grecku Rzymianinowi – Lukianowi z Samosaty zachowały się dla nas (autentyczne czy nieautentyczne, któż to może wiedzieć) pełne urazy i zdziwienia słowa macedońskiego króla na temat wysiłków ateńskiego populistycznego lidera. „Mogąc walczyć ze mną tylko uchwałami ludu, osacza mnie jednak ze wszystkich stron, dybie na mnie, znajduje pieniądze, zbiera siły, organizuje wojsko, przenosi się z miejsca na miejsce, byle przeciwstawić się moim zamiarom” – skarży się Argeada. Demostenes ma bowiem jeden polityczny cel: aby w Ateńczykach wyzwolić taką wrogość i pogardę dla „barbarzyńcy” Filipa (który przecież jest „dzikim Macedończykiem, kryjącym się za swymi niby cywilizowanymi perfidiami”), aby pomimo ich niestałości i opieszałości, zepsucia i dekadencji, zmusić ich do podjęcia jakiejś akcji politycznej przeciw królowi, a najlepiej do wojny. Cała polityczna wyobraźnia Demostenesa zamknęła się w świecie greckiej polis, w którym Hellenami są tylko ci, którzy wedle pradawnych praw i zwyczajów mają prawa obywateli miejskich wspólnot. A ich suwerenność, owszem, może, albo i nawet powinna być ograniczona, ale wyłącznie w ramach symmachii ateńskiej, w ramach której prawo sprawowania politycznej hegemonii delegowane zostaje na rzecz ludu ateńskiego i jego politycznych liderów. Tak jak niegdyś wspólna narodowa tożsamość Hellenów umocniła się podczas wojen perskich (Hellenowie – to „ci, którzy pobili Medów”), tak teraz zdarzyć się to ma

ponownie, dzięki „narodowemu” przeciwstawieniu się Macedończykowi. Rozumie się samo przez się, że pod przywództwem Aten.

„Światło arki” – Jan Rokita w felietonie o Leonie XIV

Nie tak dawno „Kronos” opublikował w swoim trzecim tomie „Historii filozofii politycznej” esej o Demostenesie, napisany na początku XX wieku przez wielkiego premiera Francji i francuskiego nacjonalistę Georges’a Clemenceau. (Swoją drogą, to jednak piękne czasy, kiedy premierzy, w chwilach wolnych od polityki, pisywali takie książki). Ten ekscytujący tekst należałoby zaliczyć do gatunku „politycznej apologetyki”, gdyż Clemenceau wykorzystuje całą swoją klasyczną erudycję i talent pisarski, aby w wyobraźni Francuzów uformować portret Demostenesa – niczym jakiejś helleńskiej Joanny d’Arc – jako przywódcy, który jedyny rozumiał w Atenach IV wieku, iż trzeba budować grecki naród, aby zwalczyć uniwersalistyczną zmołę Macedończyków. Przywołany tu wcześniej cytat o „dzikim Macedończyku” i jego „cywilizowanych perfidiach” – to właśnie próba demaskacji udawanej helleńskości Filipa przez Clemenceau. To zresztą charakterystyczne, gdyż w ciągu wieku XIX i XX Demostenesa kochali bodaj wszyscy europejscy nacjonaści, jak również patriotycznie nastawieni znakomici profesorowie od kultury klasycznej. W Polsce świetnym przykładem może być Tadeusz Sinko, który wielbiąc grecką dumę Demostenesa, znakomitemu mówcy i politykowi Ajschinesowi poświęcił w swym dziele parę linijek, konkludując, iż ów był „najlichszym jako człowiek”. Ale zwłaszcza w przypadku Clemenceau polityczna logika jego apologetycznego dzieła jest czytelna. Każdy Francuz, który to czytał, musiał rozumieć, iż w roli imperialnej

Macedonii nienawidzący Niemców „Tygrys” obsadza w swej wyobraźni wilhelmińskie cesarstwo, a siebie samego widzi, jako retora i przywódcę nawołującego do antygermańskiej jedności narodowej Franków.

Dla historyka spór Ajschinesa z Demostenesem jest fascynujący sam w sobie, jako bodaj ostatni wielki spór polityczny dawnych Greków, decydujący w jakiś sposób o losach świata. Ale mnie ten wielki spór nieustannie niepokoi z innego, współczesnego i najzupełniej politycznego powodu. Antyczna figura Demostenesa zdaje mi się wisieć do dziś dnia nad Europą, niczym fatum, albo znak jakiegoś niemożliwego do uniknięcia złego losu. Demostenes zamierzył bowiem rozbić świat helleński i sparaliżowanie jego ekspansji, biorąc na cel Filipa II, czyli jedyne go władcę helleńskiego, zdolnego znów uczynić Helladę wielką i planującego rozprawę Hellenów z ustawicznie grożącą im wschodnią despotią perską. Kampania propagandowa, jaką podjął dla zdezawuowania wszelkich starań króla, nie tylko zresztą w Atenach, była niewątpliwym ewenementem tamtych czasów, a nam pozostał jej kulturowo bezcenny ślad, jakim są sławetne „filipiki”. Demostenes doskonale zdawał sobie sprawę, co tak naprawdę jest główną ambicją polityczną Filipa: to była grecka wyprawa na Persję, mająca być definitywnym dokończeniem dzieła Maratonu i Salaminy. Żeby to zrobić, Filip musiał zapewnić sobie najpierw hegemonię w całej Helladzie. Demostenes postanowił mu to uniemożliwić, nawołując Hellenów, aby nie szli na wschód z Filipem i nie mając zahamowań, aby na rzecz tej kampanii brać pieniądze ze skarbu perskiego Wielkiego Króla. A kiedy Filip w końcu został zamordowany, Demostenes przerwał nawet żałobę nad swoją zmarłą córką, aby ukwiecony wyjść do Ateńczyków i wziąć udział w obchodzonym w Atenach triumfie ku czci mordercy. Nieroztropny, nie rozumiał, iż odtąd nie będzie miał już do czynienia z Filipem, ale z nowym królem, jakiego świat grecki dotąd nie widział – jego dwudziestoletnim synem.

Wszystkie felietony Jana Rokity z serii „Z podbieszczadzkiej wsi”

W każdym razie zarówno „filipiki”, jak i trzy mowy Ajschinesa, surowo demaskujące wszelkie (prawdziwe i nieprawdziwe) nikczemności Demostenesa, nie pozostawiają wątpliwości co do dwóch kwestii. Demostenes nie był typem „romantycznego bohatera” wyjętego z greckich baśni Byrona, rzucającym się na oślep w cokolwiek, byle z idealistycznym rozpędem i poświęceniem. Ciosy jakie wymierza on Filipowi i jego ateńskim zwolennikom są bezwzględne, precyzyjne i brutalne, a retoryczna demagogia skutecznie uwodzi tłumy Ateńczyków. I Demostenes, tak samo zresztą jak Ajschines – nagminnie tak osądzany przez historię, nie był zdrajcą ojczyzny. Podobnie jak dwa tysiąclecia po nim Makiawel w Italii, miał na oku przede wszystkim zbudowanie helleńskiego narodu, po ciężkim doświadczeniu rozbicia wojną peloponeską.

Tyle tylko, że polityczna wizja Demostenesa w okolicznościach połowy IV wieku była jedną wielką iluzją. Demostenes zaplanował sobie odbudowę starej ateńskiej symmachii w sytuacji, gdy w triadzie ówczesnych „starych mocarstw” helleńskich: Teb, Sparty i Aten, osiągnięcie politycznej solidarności było niemożliwością; zawsze dwóch grało przeciw trzeciemu. I na dodatek umyślił sobie, że rozłamując świat helleński i mistyfikując Filipa jako wrogiego szatana Hellady, zbuduje w tym konflikcie nowoczesny naród grecki, nie dopuszczając przy tym do zawalenia się zmurszałej politycznej struktury polis, owej ówczesnej „città corrotta”. Wszystko w tym koncepcie było w istocie irracjonalne. „Strategiczna autonomia” słabych i podzielonych była czymś godnym pożałowania w obliczu rodzącego się właśnie imperium hellenistycznego. A pomysł na zbudowanie silnego politycznego narodu ze społeczeństw pogrążonych

w wielkiej dekadencji, i to jeszcze przez rozbitcie świata helleńskiego, najzupełniej niedorzeczny. Na przekór Demostenesowi, Hellenowie nigdy już nie odbudowali się jako polityczny naród, ale za to znienawidzony przezeń hellenistyczny uniwersalizm zdołał jeszcze na parę wieków zdominować ówczesny świat. W ten paradoksalny sposób Hellada po raz ostatni stała się znów wielka. Tylko ta okropna Cheroneja – jedyne epokowe dokonanie Demostenesa – nie była po drodze nikomu potrzebna.

Jan Rokita

Czytaj najnowszy numer Teologii Politycznej Co Tydzień